ROZMAITOŚCI.

Dnia 27 czerwca, Ner 26. roku 1846.

## Z życia malarza Holbejna.

*Przez Aleks. Dumas.*

Jan Holbejn był synem dość miernego malarza; urodził się w Bazylei r. 1498go. Pierwsze początki malarstwa otrzymał od ojca, lecz w zbyt krótkim czasie uczeń prześcignął mistrza. Młodość jego upłynęła bez szczególnych zmian okoliczności, śród ciągłej gorliwéj pracy, do której zagrzéwało go żywe przeczucie, iż przyszłość jego sławą uwieńczoną będzie.

Jednakże jak wszyscy, którzy się chcą odznaczyć, a nie mają po temu materyjalnych środków, musiał i on przebywać wszelkie próby, na jakie ubóstwo jest skazane, a przyszły ulubieniec królewski, jak to z kronik wiémy, był często zniewolony malować godła na wywieszkach do sklepów i szynkowni.

Jednego razu, gdy właśnie takąż robotą dla pewnego aptékarza był zajęty, zdarzyła mu się następująca przygoda. Wiedziano, iż Holbejn czasem napijać się lubił, a nieraz miał on nawet porzucać robotę aby pójść na gospodę. Aptékarz, znając tę jego słabość, zawarł z nim umowę na piśmie, aby w ciągu roboty, z drabiny nie złaził, pod utratą zapłaty. Dla większéj pewności wyzierał aptékarz od czasu do czasu przez okno, aby się o Holbejna obecności przekonać. Atoli drabina malarza była tak ustawiona, iż patrząc z okna aptéki, nie można było nic więcéj widziéć jak tylko nogi, co zresztą aptékarza poniekąd zaspakajało, gdyż był przekonanym, iż nie podobna zleźć z drabiny, nie wziąwszy nóg ze sobą. Znudzony tym nieustannym nadzorem, wziął się biédny dowcipny artysta na sposoby, i wymalował na ścienie nogi tak prawdopodobnie, iż się na pozór niczém nie różniły od nóg naturalnych. Tak zabezpieczywszy się od dozoru, chodził sobie spokojnie do poblizkiego szynku winnego i raczył się do sytu.

Ta anegdota, bądź ona jest rzeczywistą bądź zmyśloną, nie jest na każdy wypadek mniéj prawdopodobną od tylu innych, jakie o różnych sławnych ludziach są w obiegu, i do dziśdnia ją sobie jeszcze w Bazylei opowiadają. Tymczasem pewną jest rzeczą, iż mimo tak niegodnych wzniosłego powołania zatrudnień, oddawał się Holbejn także zgłębianiu sztuki swojego zawodu.

Wszelako pierwsze jego malowidła, jak to wielkim malarzom często się zdarza, nie miały wielkiéj wziętości. Kupowano je jako dzieła miernego talentu. Zdarza się także nierzadko malarzom, jak i poetom, iż żyjąc wciąż w ideałach, gorzko się zawodzą, a mianowicie w miłości. Toteż i Holbejn ożenił się z kobiétą, którę z całéj duszy kochał i po któréj spółtowarzystwie bez wątpienia rajskiéj szczęśliwości na ziemi się spodziéwał. Jednak ta kobiéta, zawdzięczająca mu tak sławne imię, nie była aniołem lecz owszem szatanem jego domowego pożycia, a biédny Holbejn, będąc słabego serca, jak wszyscy wyższémi zdolnościami obdarzeni ludzie, korzył się pod jéj żelaznem berłem.

Na szczęście znalazł strapiony artysta przyjaciela, który swoją mądrą pociechą znów go z życiem pojednał. Byłto Erasmus Rotterdamczyk, który jednego razu niespodzianie do pracowni malarza wstąpił. Zaraz po piérwszém zapoznaniu się, wszczęła się między nimi długa rozmowa o najważniejszych przedmiotach: o Bogu, o naturze ludzkiéj, o sławie, a bolejące serce Holbejna uczuło w tych wzajemnych wynurzeniach przynajmniéj częściową ulgę i pomoc. Erazm był jakby nato stworzonym, aby skuteczny wpływ na los Holbejna wywarł, i w rzeczy téż samej to uczynił.

Dnia pewnego, siedząc mu do portretu, zapytał sławny filozof malarza, czemu nie podróżuje?

„Dokądże mam się udać?" odrzekł Holbejn. — „Moja rodzina, moi znajomi są tutaj w miejscu, a chociaż mi wprawdzie życie z niémi, nie jest nazbyt przyjemném, przecież przyzwyczajamy się z czasem zarówno do nieprzyjemnych jak i najmilszych stosunków. Oprócz tego musiałaby podróż moja miéć jakiś cel pewny i oznaczony, i musiałbym być przekonanym, iż gdzieindziéj więcéj szczęścia i sławy znajdę niż tutaj."

„Przy waszym talencie i przy poleceniach, jakiebyście mogli miéć ode mnie, sądzę, iż podróż do

Anglii byłaby wam wielce pożyteczną. Znaleźlibyście tam silną podporę w Tomaszu Morus, moim przyjacielu, który jest ministrem króla Henryka VIII. Podróżując sami, bez rodziny, bylibyście dość niezawisłymi, aby najznakomitszych dzieł dokonać. Tu domowe troski i niepowodzenia są wam na przeszkodzie i szkodliwie wpływają na wasz talent, który wreszcie pod tém brzemieniem mógłby uledz zupełnie. Powiadam wam, usłuchajcie mojéj rady, i jedźcie w podróż.”

Nie potrzeba też było zbyt usilnéj namowy, aby Holbejna do tego zamiaru skłonić. Najtrudniéj było mu o powzięcie postanowienia, aby te krępujące więzy rozerwać; zwłaszcza gdy sam uznawał, iż uczony przyjaciel mądrze radził. Jakoż stało się zadość téj radzie; a teraz rozpoczął się nowy rozdział w życiu Holbejna; otworzył mu się świat nowy, wzejszło mu prawdziwe życie artysty, wolne, swobodne, wędrowne. Jak wypuszczony więzień uczuł on poraz pierwszy całą piękność natury i nie myślił już o niczém inném, jak tylko o sławie i o sztuce.

Tomasz Morus przyjął go jak należy przyjąć każdego znakomitego męża — jako najmilszego gościa, późniéj jak przyjaciela. Przez trzy lata bawił Holbejn przy ministrze, który ciągłémi pracami go zatrudniał. Czynił to Morus nie bez pewnego tajemnego zamiaru, gdyż na ostatek wyprawił świetną ucztę dla króla Henryka VIIIgo i przyrzekł mu cuda pokazać. Podczas festynu rozstawił minister przed królem wszystkie, od trzech lat dokonane prace Holbejna, a gdy one królowi nadzwyczajnie się podobały, minister wynurzył prośbę, aby Henryk VIII te wszystkie malowidła w znak winnego hołdu przyjąć raczył.

Król Henryk, podobnie jak wszyscy królowie, był bardzo zazdrosnym i nie dopuszczał, aby kto w czémkolwiek chciał przed nim celować, a przytém wiedział dobrze, iż nieraz jeden sławny artysta, może całą epokę sławną i pamiętną uczynić. Ztąd zażądał wziąć Holbejna w służbę królewską. Morus przedstawił swego przyjaciela królowi. Henryk zapytał artystę, czy on Angliję za dość poetyczny i gościnny kraj uważa, aby mógł pozostać przy królu i być jego malarzem — a po przyjęciu tego oświadczenia przez artystę, obrócił się król do ministra i rzekł: »Możesz zatrzymać sobie te malowidła, gdyż mam już samegoż ich twórcę.”

Od téj chwili wszczęła się owa królewska przyjaźń, jaką Henryk VIII Holbejna zaszczycał, dając mu wielokrotne jéj dowody. Przytoczymy tu jednę przygodę Holbejna z pewnym hrabią angielskim, w któréjto przyjaźń króla osobliwie się okazała.

Jak wszyscy malarze miał też i Holbejn ową koketeryję talentu, która mu nigdy w obecności innych osób, a zwłaszcza takich, którzy się na sztuce nie rozumią, pracować nie dozwalała. Owoż jednego razu jakiś hrabia angielski, który koniecznie sam o zdolnościach Holbejna chciał się przekonać, udał się do jego pracowni. Holbejn wymawiał się z największą grzecznością, zapewniał iż nigdy w obecności czyjejś nie pracuje, a wreszcie dodał, że w Londynie jest wiele ciekawszych rzeczy, niż widok pracującego malarza. Na nieszczęście był hrabia o tyle zarozumiałym, o ile artysta ugrzecznionym, i nie mógł wcale pojąć, jak to być może, aby jemu, przed którym przecież podwoje najpierwszych domów otworem stoją, ladajaki malarz przystępu do siebie zabraniać się poważał. Lecz artysta trwał uporczywie w swojém postanowieniu, a wreszcie wszczęła się żywa zwada, któréj Holbejn inaczéj zakończyć nie mógł, jak tylko wyrzuceniem hrabiego za drzwi, co uczyniwszy, powrócił spokojnie do swéj pracowni. Rozmyślając jednakże nad tém zdarzeniem, pojął, iż magnat przez to bardzo upokorzonym uznać się musi, że ma zbrojnych służalców, i że w ogólności jestto bardzo nierówna walka. Wolał więc uprzedzić całą sprawę i rzucił się do nóg królowi, błagając łaski jego; jednak nie wymieniał powodu swojéj prośby, lękając się, aby król, dowiedziawszy się iż Holbejn tak bardzo szlachtę obraził, tejże prośby mu nie odmówił.

Skoro więc Henryk ulubieńcowi nieznaną sobie winę przebaczył, Holbejn wszystko mu opowiedział.

„I chciałże on koniecznie zostać u ciebie?” ozwał się król zdziwiony. — »Tak, miłościwy panie.” — „I czémże się do tego upoważniał?” — „Swojém nazwiskiem.” — „Bezczelnik!.. I cóżeś mu odpowiedział?” — „Odwołałem się do waszéj król. mości.” — »A on jeszczeż obstawał przy swojém żądaniu?” — »Upornie.” — „Cóż daléj?” — „Daléj, będąc właśnie spiesznem wykończeniem wizerunku waszéj król. mości zatrudnionym, wyprawiłem go nieco żywiéj, niż zwykle się dzieje, za drzwi.” — „Ale przecież nie jest zabity?” — »Nie, sire, ale może się mocno potłukł.”

W téj chwili oznajmiono królowi, iż jakiś zraniony szlachcic o posłuchanie prosi. Henryk dał malarzowi skinienie oddalenia się, i kazał biednego lorda przywołać. Po wysłuchaniu jego skargi starał się król uniewinnić malarza porywczością artystowskiego temperamentu, lecz gdy hrabia nareszcie i w obec króla również zuchwałą minę przybrał, jak przedtém w obec artysty, król Henryk powstał i rzekł: „Dość tego, panie hrabio. Zakazuję panu pod utratą własnego życia, ważyć w jakikolwiek sposób na życie mego malarza. Różnica między wami obudwoma jest zbyt wielka. Z siedmiu chłopów mogę, skoro mi się podoba, siedmiu takich hrabiów zrobić, jakim pan jesteś, ale ani jednego Holbejna.

Zapomnij więc, co on panu wyrządził, jak ja panu przebaczam, coś mi tu śmiał powiedzieć.”

Hrabia chcąc nie chcąc musiał woli królewskiéj być posłusznym i przyrzekł nie mścić się na Holbejnie, co również dla lorda niebezpieczną rzeczą było, gdy malerz tak silnych miał obrońców.

Upewniony w ten sposób o przychylności króla, starał się teraz Holbejn jedynie o to, aby ją sobie nadal zachować. Zabrał się więc do pracy i wymalował prześliczny portret króla, który później kilkokrotnie kopijował; pierwotny portret został w pałacu Whitehall umieszczonym.

Król Henryk przychodził często do pracowni Holbejna i rozmawiał z nim, podczas gdy on malował, albowiem w obecności króla nie wahał się artysta oddawać sztuce, a król będąc sam na sam z Holbejnem, trzymał mu zapewne nieraz pędzel i farby, podobnie jak to cesarz Karol V Tycyjanowi czynił.

Po ukończeniu królewskiego portretu malował on także portrety różnych panów i pań dworskich, ale nie wiemy, czy również i owego biedaka lorda, który tak źle na sprzeczce z artystą wyszedł.

Pewien bogaty miłośnik sztuk pięknych, Andrzéj de Leo, zebrał wszelkie obrazy Holbejna, jakie tylko mógł gdzie znaleźć, i utworzył sobie z nich małą galeryję. Był tam pomiędzy innémi piękny portret Mikołaja Lallemand, astronoma królewskiego; były portrety Tomasza Kromwella, Erazma i arcybiskupa kanterburskiego. — W Amsterdamie znajdował się piękny obraz Holbejna, przedstawiający królowę Angielską; Florencyja ma trzy portrety: Lutra, Morusa, Ryszarda Southwella, a wreszcie samegoż malarza. W Dysseldorfie były jego: Bachantka jeden krajobraz i jakiejś nieznanéj osoby portret. W *Palais Royal* jest dotąd portret Joanny de Cléves i „Ofiara Abrahama”, a prócz tego: wizerunek kobiéty w żałobie i kupca Jerzego Gisein. Nareszcie w Bazylei, prócz kilku mniejszych utworów, znajduje się na murach św. Piotra sławny Holbejna „Taniec upiorów.”

Tę ostatnią kompozycyję, przypisywaną powszechnie Holbejnowi, chcieli niektórzy mu zaprzeczyć. Póki jednak niezbite dowody właściwego jéj twórcy nie wykryją, niéma żadnego powodu, aby jéj Holbejnowi odmawiać. „Taniec upiorów” był w r. 1568m przez malarza Klaubio restaurowany, lecz w r. 1805m został ze szczętem zniszczony.

Prócz wspomnionych malowideł zostawił Holbejn jeszcze wiele miedzio- i drzeworytów. Zazwyczaj malował on lewą ręką. Główną jego zaletą jest dziwnie oryginalna fantazyja. Wszakże tylko zbyt zapaleni wielbiciele Holbejna mogą kłaść go na równi z Rafaelem.

Holbein umarł w r. 1554m, w Londynie, na morowe powietrze.

---

## Kwiatarka z Werony.

Opowiém wam bardzo prostą historyję, historyję serca, jaka się codziennie i wszędzie zdarza, a przecież mimo to, jest ona bardzo rzadką.

Pojdźcie ze mną do ciepłych, wonnych krajów południa, gdzie jeszcze wesołe życie gminu pod wesołém, pogodném niebem swobodnie się rozwija, a piękność i urok nie wiedząc o sobie, niepowiadomie też innych pociąga i zachwyca. Pójdźcie ze mną do miasta, gdzie *cicerone* północnemu przychodniowi stare pałace Montechi'ch i Capuletti'ch pokazuje, chociaż jeden z tych gmachów, i właśnie ten, w którym Julijetta żyła i umarła — o, dziwne losu igrzysko! — w austeryję jest zamieniony!

Na *piazza dell'erbe,* podobnie jak we wszystkich miastach włoskich, jest prześlicznie ustrojona targowica kwiatów, a włoskie kwiatarki rozumią się nie tylko na doskonałym chowie tychże, lecz mają prawdziwie poetyczną, wrodzoną sobie zdolność, układać je podług wszelkich prawideł estetyki w odcienia kolorów i w nadzwyczajnie piękne, harmonijne równianki i wieńce. Jest też pomiędzy tym ludem, samą już rozkoszną przyrodą w naukę wdzięków i nadobności wdrożonym, niejedna prosta kwiatarka, którąby można słusznie nazwać artystką, która co do składu różnych odcieni kolorytu, każdéj wiązance pewną właściwą umie nadać charakterystykę, tworząc z samych barw i woni jakbyto jakąś kalejdoskopijną muzykę jużto jaskrawego blasku i przepychu kolorów, już delikatnego, uroczego zlewania się półcieniów.

Na téjże *piazza dell'erbe* siadywała przed laty ładna dziewiętnastoletnia kwiatarka, imieniem Biggia, co jest pieszczotliwym prowincyjalizmem, zamiast bardziéj pańskiéj, dumnéj nazwy „Beatrice”. Znała ona się na owéj pięknéj, niewieściéj sztuce, jak żadna z jéj towarzyszek. Jéj równianki były małe, skromne, lecz zawsze najharmonijniéj ułożone.

Miała też Biggia zawsze najwięcéj kupców, ale to nie jedynie dla saméj piękności jéj równianek. Gdyż i ona sama była prześliczną dziewczynką, i siedziała tam w pośrodku swoich poetycznych utworów kwietnych, jako najpiękniejszy ze wszystkich kwiatek. Pod naszém pochmurném niebem, nieustanna walka z nieprzyjazną naturą, nie dopuszcza swobodnego rozwinięcia się przyrodzonéj piękności u ciężko spracowanego gminnego ludu; lecz w szczęśliwszych stronach południa, i u prostéj chłopskiéj dziewczyny, mogą szlachetność i wdzięk kształtów, w całéj postaci nadobnie się uwydatnić. Biggia miała tak pięknie zarysowany profil, tak charakterystycznie wyniosłe brwi o długich rzęsach, tak wdzięcznie uśmiechające się usta, iż żadna salonowa dama nie mogłaby się była niémi powstydzić. Przytém umiała piękna kwiatarka swoją długą weronej-

ską zasłonę w prawdziwie malowniczy sposób na połysne sploty czarnych długich włosów zarzucać.

Biedna Biggia — powiadam wam to, z obawy złych języków, na ucho — musiała się nieraz jako statystka w operze najmować, ponieważ nie była w stanie zapłacić wstępu do teatru, a żywa jéj wyobraźnia, pragnąca widoku złudy i piękności, chciała się koniecznie tym świetnym bajecznym przepychem jakichś fantastycznych postaci, barw i tonów nasycić. Bywszy zaś w ten sposób dwa lub trzy razy na przedstawieniu jednéj opery, umiała Biggia ku zadziwieniu wszystkich przyjaciółek, całą operę na pamięć, i odspiewywała ją od początku do końca najnaiwniéj upojedyńczoną.

W tymże samym czasie stał w Weronie na załodze pewien młody węgierski oficer, którego po imieniu Szczepanem nazwiemy. Byłto człowiek stałego, dzielnego ale oraz egzaltowanego sposobu myślenia. Jego zdrowa, czérstwa, brunatna, prawdziwie węgierska twarz o surowych wydatnych rysach, świadczyła żywo o istocie powyższych przymiotników.

Szczepan był znakomitego rodu i bogaty.

Prawie codziennie widywano młodego Węgra, kupującego kwiaty u Biggii, które dwój- a nawet trójnasób przepłacał. Towarzysze jego chcieli sobie zrazu zeń żartować, że Biggia go zajmowała. On jednak surową odpowiedzią przeciął raz na zawsze te żarty i nigdy się w rozmowę o słynnéj powszechnie Weronejce nie wdawał.

Wieczorami przechodziły często wojskowe bandy muzyczne po ulicach. Natenczas zbiegało się wszystko na miejsce, którędy muzyka przeciągała, rzemieślniczki uciekali od rozgniewanych majstrów, słudzy opuszczali robotę, uliczna młodź porzucała zabawy i cisnęła się skacząc i wykrzykując z radości wokoło muzykantów. Jakoż i Biggia nigdy prawie téj rozrywki nie omieszkała, idąc samotna pomiędzy tłumem, i tylko własnémi marzeniami zajęta. Wtedy nasz węgierski oficer stawał zwykle zdaleka i przypatrywał się z potajemną rozkoszą nadobnéj marzycielce. Nie śmiał on jednak przemówić do niéj, spoglądał na nią jak spogląda pobożny na obraz cudowny, lękał się prawie jéj poblizkości. Bo też nie widział on w niéj powszedniéj przekupki kwiatów, dziewczyny z gminu, lecz owszem madonnę uroczą, cichą, pogodną, jak włoskie niebo nad niémi.

Nareszcie przecież odważył się poszepnąć jéj kilka miłosnych słówek. Wtenczas Biggia odrzekła mu poważnie, chociaż łagodnie: „Nacóż tych słówek? Wszak wy mię nie kochacie, ani możecie kochać. Jesteście *signore*'m. Zdołacież mię uszczęśliwić? Nie. Gotowiście mię raczéj nieszczęśliwą uczynić, lecz tego wam nie dopuszczę.»

Ale nie żalże jéj było saméj, iż musiała tak mówić? Och, zaiste, i cały też tydzień była smutna i posępna, widząc że młody Węgrzyn nieśmiało się usunął.

Mimo to jednak nie tracił Szczepan nadziei. Powziął naraz jakieś nito zabobonne przekonanie, że osoba, do któréj szczérém sercem się przychylimy, koniecznie, chociażby cokolwiek, wzajem nas kochać musi. To przekonanie, jakkolwiek bezzasadne, było przecież rozsądniejsze od wielu innych, gdyż ośmieliło Węgrzyna do nowéj próby. Wziąwszy tedy znów razu jednego Biggię za rękę, rzekł do niéj uroczyście: „*Io te amo!*” (kocham cię.) — A trzeba wiedzieć, że we Włoszech, chociaż z samąż miłością równie jak gdzieindziéj igrają, przecież wyrazy jéj nadzwyczajnie szanują. *Io te amo*, sąto słowa, które Włoch tylko z najświętszą prawdą wymawia. *Io te amo!* — Słysząc to, Biggia zamyśliła się głęboko. Co sobie dotąd sama taiła, teraz w niej gwałtownie to wybuchło. Lecz najnamiętniejsza Włoszka jest zawsze w pewnym względzie rozsądną w swojéj namiętności. »Jakże mogę wam wierzyć?» rzekła z spuszczonémi w dół oczyma do oficera. Potém wypatrzyła się na niego i ozwała się łagodnym, prawie błagalnym głosem: „Przysięgnij mi na świętą hostyję, żeś prawdę mówił, iż mię kochasz.” — A młody Węgrzyn przysiągł, że ją kocha, i że się z nią świętémi śluby połączy. —

Dość długi przeciąg czasu upłynął po tym wypadku. Szczepan i Biggia kochali się szczérze i wiernie, ale tysiączne przeszkody były im w drodze. Mniejsza o szlachectwo kochanka a nieszlachectwo kochanki; Szczepan był człowiek z sercem, a gdzie serce tam téż i dusza, a dusza nie pyta o legitymacyję. Ale Szczepan był oraz oficerem. Zatajał on wprawdzie kochance, jakie trudności zachodzą, lecz bystra dziewczyna postrzegła się na tém i odgrażała się nieraz na ludzką złość, która pragnie zawsze rozerwać kochające się serca, gdy przecież miłość jest oczywistém dziełem bożém, któremu tylko pobłogosławić należy. Nato odpowiadał jéj Szczepan, iż mówi jak anioł, lecz cesarska jeneralna komenda inaczéj rzecz tę uważa. — Nareszcie gdy wszystko już zawiodło, oświadczył Szczepan, iż tylko jedno jeszcze pomódz im zdoła, to jest, udanie się z prośbą do samegoż cesarza. —

Po niejakim czasie zdarzyło się, iż wicekról Lombardyi i Wenecyi objeżdżał prowincyję i przybył do Werony. Wtedy jakaś uboga ale prześliczna dziewczyna zgłosiła się u jednego z adjutantów, prosząc o posłuchanie u wicekróla. Wszyscy byli zdumieni pięknością dziewczyny. Adjutant zapytał ją uprzejmie, o co chce prosić. Ona zaś widocznie bardzo wzruszona, potrzęsła główką i odrzekła, że nie może tego powiedzieć. Tożsamo powtarzała ona przy dalszém naleganiu. A gdy jéj wreszcie oświadczono, iż nie może być przypuszczoną do wicekróla, aż póki nie oznajmi swego żądania, łzy

biednej dziewczynie stanęły w oczach. Wreszcie uspokojona łagodnémi słowy adjutanta, wzięła go z sobą na stronę i w odpowiedź na prośbę jego o wymienienie co ją tu sprowadza, poszepnęła mu z ważną miną: „*L'amore*" — miłość. — Adjutant uśmiechnął się i doniósł o tém wicekrólowi. Wpuszczono Biggię natychmiast. Wszedłszy do sali posłuchalnéj, przyklękła z wdziękiem na jedno kolano i podała wicekrólowi małą, cudnie piękną równiankę kwiatów. Wicekról przyjął ten piękny dar i spytał dobrotliwie o żądanie, a ona odrzekła znowu »*L'amore.*" Wreszcie jednak nabrała odwagi i opowiedziała wicekrólowi całą historyję swego serca. Zakończyła ją témi słowy: „Gdzie dwoje ludzi szczérze i od serca się kocha, tam już sam pan Bóg wyrok wydał, a wyrokom boskim ludzie sprzeciwiać się nie powinni. Ale mój Szczepan zawsze mi odpowiadał: Twoje słowa sąto słowa aniołów, lecz cesarska komenda jeneralna inaczéj o tém myśli." — Wicekról uśmiéchnął się. „Ale byłażbyś przeto szczęśliwą, Biggio," zapytał po dłuższéj chwili, „gdybyś poszła za twego Szczepana? Wszak mówią że małżeństwo jest grobem miłości." — „Ci, co tak mówią," odrzekła żywo dziewczyna, »nie znają i nie znali nigdy miłości. Miłość przed małżeństwem, jestto tęsknota za poświęceniem się dla kochanka; małżeństwo, jest samémże poświęceniem, i zaprawdę możnaby je nazwać przebudzeniem się ze snu, gdyż natenczas gra wyobraźni przemienia się w jawę i w czyn. Poświęcić się w myśli, w wyobraźni dla kochanka, jest zapewne rozkoszą, lecz poświęcać się nieustannie w życiu, na jawie, jestto bolesną rozkoszą, jakby słodką, błogą śmiercią; i dlategoto boją się niektórzy małżeństwa." — Wicekról odrzekł wzruszony: „Idź spokojnie do domu, moje dziecię. Cesarska komenda jeneralna nie może wprawdzie myślić jak aniołowie w niebie, lecz — nic to nie szkodzi — idź pocieszyć swego kochanka." — Biggia spojrzała mocno w oczy wicekrólowi, i wyrozumiała z nich, iż może być spokojną. Życzenia kochanków zostały spełnione. —

Długo potém żyła w Weronie majętna para małżonków, któréj, gdy szła przez miasto, wszyscy z prawdziwą czcią się kłaniali, gdyż nie było nikogo, ktoby w całém mieście był bardziéj lubionym i szanowanym. Włosi są entuzyjaści, lecz dobrze im z tém, że są takimi. Skroń młodéj, pięknéj małżonki wydawała się im prawie jak łuną świętych otoczona; wszyscy bowiem znali niegdyś ową biédną, skromną Biggię, która tam na *piazza dell'erbe* przy kwiatach siadywała, a do owego młodego węgierskiego oficera tak serdecznie przywiązaną była, i tak czule do wicekróla za miłością swą przemawiała. Została ona wprawdzie panią, lecz była zawsze dobrą i niewinną, jak wprzódy.

* * *

Skończyłem moję powiastkę. Jest ona zapewne prawdziwą, gdyż zdaje się być poetyczną, lecz jest ona oraz i rzeczywistą. Słyszałem ją od artystów z Włoch powracających, którzy tę byłą kwiatarkę sami nieraz ramię w ramię z swoim mężem Szczepanem po ulicach miasta Werony przechadzającą się widzieli, a wszystkim, którzy jéj historyję znali, wydawało się, jakoby jasny, święty światłokrąg wokoło jéj pięknéj skroni połyskiwał.

---

## Wyjątki z podróży p. Valon do Konstantynopola.

Moi towarzysze podróży obudzili mię około 10éj godziny, aby pójść z nimi na uroczystość kręcących się derwiszów. *Cicerone* z hotelu zaprowadził nas do krągłego budynku, otoczonego małym ogrodem, w którym tłumy Greków, Turków i Ormian się cisnęły. Gdyśmy do przedsionku weszli, wezwał nas *cicerone*, abysmy wdzieli pantofle, a buty oddali jednemu z miejscowych posługaczów, który przechowywaniem obuwia się zajmuje. Jestto powszechny zwyczaj w Turcyi. Nie tylko że do żadnéj moszei nie wolno jest wejść w butach, na których pył lub błoto uliczne osiadły, lecz byłoby to wcale nieprzyzwoitą rzeczą, gdyby kto nawet w jakim tureckim domu, gdzie zresztą nigdy prawie kapelusza się nie zdejmuje, poważył się w butach wystąpić. Ten zwyczaj, jakkolwiek w pierwszéj chwili dziwnym się być zdaje, jest może rozsądniejszym od naszego zwyczaju zdejmowania kapeluszów.

Poddawszy się téj etykiecie, weszliśmy do dużéj, okrągłéj, z góry oświetlonéj sali. Wpośrodku była parkietowana arena, najstaranniéj powoskowana i wkoło poręczą otoczona. W okrąg téj areny, przeznaczonéj do widowiska, któremu mieliśmy być świadkami, siedzieli widzowie wszelkiego wieku, wszelkich krajów i strojów, prawie wszyscy mniéj więcéj czosnkiem czuchnący. Świętobliwe to widowisko już się było zaczęło. Przy dźwiękach barbarzyńskiéj orkiestry, złożonéj z małych kotłów i klarynetów, którym nieco zakłócona harmonija najrozmaitszych nosowych głosów wtórzyła, puściło się w szalony taniec jakich dwudziestu dużych, brodatych derwiszów, w długich białych szatach, i zaczęto się z wielką uroczystością około jakiegoś małego staruszka w niebieskiém futrze, młynkiem kręcić. Mieli oni na głowie kastrowe czapki w kształcie wywróconych doniczek. Ich białe szaty z miękkiéj ale ciężkiéj wełnianéj materyi, rozdymały się przez pęd rozmachu coraz bardziéj powietrzem. Z rozkrzyżowanémi ramiony, lewę rękę nieco wyżéj niżli prawę wzniosłszy, oczy z fanatyczną świętobliwością w strop utkwiwszy, kręcili się ci derwiszowie tak dziko na gołych piętach, a prze-

cież tak regularnie zachowywali należytą odległość od siebie, iż nie podobna było mieć ich za coś innego, jak tylko za automaty, którémi jakiś wir wkoło dziko obraca. Zaledwie pojąć można, jak ci ludzie wytrzymać mogą, aby się tak długo na jednêm miejscu jak wrzeciona kręcili, a przecież apopleksyją tkniętymi nie byli. Wszakże jestto ich sztuką i powołaniem; od dzieciństwa w têm ćwiczeni, nie znają oni żadnego innego zatrudnienia ani celu; a przecież zdarza się często, iż niektórzy z nich przed końcem widowiska, nie są w stanie wytrzymać dłużéj tego męczeństwa, i półmartwo oziem padają. My sami, patrząc na to, nie mogliśmy się od zawrotu głowy zachować.

Nagle muzyka ustała, a derwisze popadali razem na kolana, z głową ku ziemi. W têm położeniu trwali przez kilka minut, a ich słudzy rozpostarli nad nimi długie czarne płaszcze; nakoniec podnieśli się znowuż i ustawili się po wojskowemu w szeregu. Staruszek w niebieskiém futrze, który siedząc nieruchomo na piętach, temu wszystkiemu się przypatrywał, zanucił teraz drżącym głosem pieśń żałośną, na którą jego podwładni przeraźliwémi, wyjącémi głosy odpowiadali. Po skończonym śpiewie wystąpili derwisze z szeregu, zbliżyli się do swego naczelnika, ucałowali mu z wielką czcią końce palców a potém wzajemnie podali sobie ręce do pocałowania. Na dobitek ozwał się jeszcze nowy koncert krzykliwych głosów gardzielowych, poczém całe zgromadzenie się rozbiegło. Ponieważ to widowisko mocno mię zajmowało, a ja, chociaż nieco późno przyszedłszy, przecież wszystkiemu dobrze przypatrzyć się chciałem; przeto nie zważając na żadne przeszkody, przecisnąłem się naprzód i usiadłem sobie przed jakimś opasłym Turkiem. Poważny muzułmanin, który podczas ceremonii zniewagę swoję z trudnością poskramiał, teraz, kiedy było już po wszystkiém, uderzył mię ze złości po plecach. Ja odpowiedziałem mu kułakiem w bok, czém on mocno zdumiony, oczy na mnie wytrzeszczył, i ani słowa nie rzekłszy, odszedł.

Oprócz kręcących się derwiszów, jakich właśnie widzieliśmy, są w Konstantynopolu jeszcze derwisze wyjący. Zamiast iż tamci kręcą się aż do upadłego, ci wrzeszczą w przenajprzeraźliwszy sposób tak długo, aż póki wysileni, z toczącą się im z ust pianą, bez duszy na ziemię nie padną. Historycy wywodzą rozmaicie początek tych osobliwszych obrzędów. Można jednak przypuścić, iż terazniejszy tan derwiszów jest zabytkiem owych szalonych tanów, jakie w starożytności kapłanie Kybeli wyprawiali. W ogólności derwisze mahometańscy uchodzą w Konstantynopolu za ludzi rozpustnych, a ich religijne ćwiczenia są podług koranu, który wszelkich tańców zabrania, nie pochwalane lecz jedynie cierpiane. Wszelako ten zakaz koranu nie przeszkadza Turkom, aby nie chodzili potajemnie patrzyć na takzwanych *ballerinów*, to jest greckich, w najsromotniejszém zepsuciu wychowanych chłopców, które w wytwornym stroju, za tanią zapłatę w niektórych osławionych kawiarniach, pewien rodzaj bezwstydnego obrzydliwego *cachucha* tańczą.

W obiadową porę wróciliśmy głodni do hotelu. Restauracyje konstantynopolitańskie, których taryfa dziennie zazwyczaj 12 franków czyni, są daleko wygodniejsze niż w niejednêm pomniejszém mieście francuzkiém. Znajdziesz tam bardzo pięknie obite, a nawet z pewną europejską wytwornością urządzone pokoje, i łóżka dobrze opatrzone zasłonami przeciw *mustikom*. Obiad, przy którym gospodyni zwykle u stołu na pierwszém siedzi miejscu, bywa bardzo obficie zastawiony; dania i usługa są na sposób angielski. Wina francuzkie są w Konstantynopolu małoco droższe niż w Paryżu. O południowéj godzinie przedstawia salon pani Giuseppiny najrozmaitszy zbiór tureckich szlafroków. Wieczorem, przy obiedzie, toczy się najżywsza rozmowa w języku włoskim, będącym powszechnym środkiem porozumienia się wszystkich cudzoziemców na wschodzie. W tymto salonie schodzą się podróżnicy ze wszystkich krajów, znający się po większéj części między sobą jeszcze z poprzednich spotkań na statkach parowych, lub w hotelach. Te dość częste spotkania zawiązują w Konstantynopolu têm przyjemniejszą poufałość, że tam zresztą na wszelkich zasobach towarzyskiego pożycia zbywa. Kto nie zwykł o 8éj godzinie iść spać, ten znajduje się w wielkim kłopocie, czém sobie wieczór spędzi. Z zachodem słońca znikają wszyscy Muzułmanie, a cała turecka część miasta zasypia. Tylko w Pera przechadza się jeszcze kilku próżniaków z godzinę po małym cmentarzu albo pije kawę i przysłuchywa się muzyce, podobnie jak to się po naszych przedmiejskich ogrodach dzieje. Skoro jednak noc nadejdzie, wszyscy spieszą do domów, a na ulicy nie spotkasz nikogo prócz psów zgłodniałych, które dla każdego cudzoziemca, bez latarni idącego, nadzwyczaj są niebezpieczne.

Zamieszkali w kraju Grecy i Ormianie przyjęli po większéj części obyczaje tureckie. Nie widują oni nikogo u siebie. Ztąd członkowie ciała dyplomatycznego składają jedyne zimowe towarzystwo, które z nadejściem piękniejszéj pory roku, znowu się rozprasza. W pierwszych dniach wiosny, przenoszą się posłowie ze swoich od czasu ostatniego pożaru spustoszonych pałaców w mieście, do mieszkań letnich za miastem. Tylko Rosyja kazała pałac swego poselstwa odnowić, a patrząc się na ten pyszny gmach cesarski, wznoszący się tak dumnie pomiędzy zburzonémi siedliskami reszty posłów, nie można się wstrzymać, aby tego porównania i pod innym względem nie uczynić. W lecie bywa tylko

salon pana L..., dragomana francuzkiego poselstwa, sam jeden w Konstantynopolu otwarty. Lecz myliłby się, ktoby mniemał, iż oddalenie i wpływ obczyzny, tym zgromadzeniom pewnej nieswojskiéj cechy nadają. W salonach Konstantynopolu nie masz nic oryjentalnego prócz długich fajek, których używanie dozwolone jest przez damy, a pominąwszy dym tytoniu *latakié*, mógłbyś się mniemać na *chaussée d'Antin* w Paryżu. Regularna żegluga francuzkich i austryjackich statków parowych, zamieniła Oryjent w przedmieście Europy. Co tygodnia nadchodzą do portów greckich i tureckich listy i dzienniki ze wszystkich końców świata, a oficerowie okrętowi i podróżnicy przywożą najdrobniejsze szczegóły, najtajemniejsze ploteczki z salonów w Londynie, Neapolu, Wiédniu i Paryżu. Wielki świat Konstantynopola, Aten i Smyrny, żywi się jedynie témi salonowémi wiadomostkami z Europy, które z towarami europejskiemi z pokładu na pokład, z miasta do miasta przechodzą. Mianowicie damy zajmują się tym pozornym związkiem z obcym, sławniejszym światem, którego wcale nie znają, i nie ma też nic śmieszniejszego, jak słyszéć w Azyi pogadankę o ucieczce pani téj a téj od męża, o zamęźciu pana tego i tego, a nawet o prawdopodobném powodzeniu najbliższéj opery paryzkiéj.

(Dokończenie nastąpi.)

## Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 24ty i 25ty i zawiéra: 1) Protokoł czynności drugiego zgromadzenia c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, odbytego dnia 31go stycznia 1846 r. we Lwowie. Pod przewodnictwem JO. książęcia Leona Sapiehy, prezesa tegoż Towarzystwa. 2) Obwieszczenie o przyszłém zebraniu Towarzystwa. 3) Jakie skutki na tutejszy kraj wywrze zmiana taryfy do parlamentu angielskiego wniesiona przez Robeta Peel, a mianowicie zniżona opłata od zboża i drzewa do Anglii wprowadzić się mającego? Przez K. L. Wolickiego. 4) Przewodnik dla hodujących owce. 5) O zarazie bydlęcej księgosusz zwanéj. 6) Statystyczny wykaz fabryk i zakładów fabrycznych, tudzież wartości wyrobionych w nich towarów w mieście Warszawie, w roku 1845. 7) Kilka słów o Multanach (Mołdawii), napisane dla dzierzawców dóbr ziemskich; przez Józefa Poradowskiego. (Ciąg dalszy.) 8) Wiadomości kandlowe.

Mieszkańce ziemi i słońca. Ludzie zwykłéj budowy ciała mają się swoim wzrostem do średnicy ziemi jak 1 do 8 milijonów. Jeżeliż wzrost mieszkańców słońca ma się w równym stosunku do średnicy słońca, tedy muszą oni mieć 40 mil wysokości. Żyjące twory takiego wzrostu nie mogą, zdaje się, istnieć gdzieindziéj, jak tylko w naszéj fantazyi; jakoż nie myślimy wcale przypisywać mieszkańcom słońca tak rozległéj postaci, atoli skoro jak wiémy są żyjące stworzenia o kilka milijonów razy mniejsze od nas, dla czegoż nie mogłyby także być takie, któreby o kilka milijonów razy większémi były? Bądź jak bądź, skreślmy daléj rozpoczęty tu obraz porównania. I tak wystawmy sobie, iż cała ziemia spadła na słońce, będące, jak wiadomo, 1.400,000 razy większém od ziemi. Zewsząd tedy zbiegają się mieszkańce słońca, chcąc o tém nadzwyczajném zdarzeniu przekonać się i zbadać, co było przyczyną tak gwałtownego wstrząśnienia. A będąc półtora milijona razy większymi od nas, jakkolwiek z trudnością, są przecież w stanie wyleźć na wiérzch téj spadłéj na słońce góry. Nasze morza, jeziora, rzéki i bagna, które im tylko po kostki sięgają, utrudzają tę przechadzkę. Pomiędzy mieszkańcami słońca muszą oczywiście być także badacze przyrody, którzy naszą bryłę ziemi za wielki kamień meteoryczny uznają i bliżéj ją zbadać pragną. Odtłukują więc sobie młotkami małe naroście ziemi, jak np. górę Montblanc, Wielkiego Gloknera, szczyt Łomnicy i t. p. lodowce, i porównywują ich składowe cząstki z cząstkami słońca. Żyjących istot nie mogą wcale dostrzedz na spadłéj ziemi. Zginają się dla bliższego przypatrzenia się jéj powierzchni i widzą tam na niéj jakiś szary lub żółty piasek; roślin i źwiérząt ani śladu. Daléj biorą swoje instrumenta fizykalne, teleskopy, mikroskopy, i za pomocą tychże przychodzą na myśl, iż niektóre zieleńsze miejsca ziemi, zawiérają zarody mdłych roślinek jak np. dęby, palmy i t. p., chociaż właściwego ich kształtu rozpoznać nie są w stanie. Nareszcie uciekają się do hydro-oksygenowego mikroskopu, który kilka milijonów razy powiększa, a ten odsłania im poczęści naszę organiczną naturę. Owoż nowy, nigdy przedtém nie przeczuwany przez nich świat, odkrywa się ich oczom. Widzą nasze miasta, nasze gotyckie wieże, nasze koleje żelazne, nas samych. Ponieważ w stosunku większéj rozległości przestrzeni także i stosunek czasu jest innym, przeto i owych dni kilka, jakie słoneczni badacze przyrody na dokładném obejrzeniu ziemi trawią, są już dla mieszkańców ziemi wiekami. »Dziwneto istoty te infuzoryja (żyjątki) ziemskie!« ozwie się pewien astrolog słoneczny. »Widzę jak tam nad ich głowami jakiś maleńki punkcik ulata, i zdaje mi się, iż wypuścili balon w górę, który jednak nie wyżéj na powierzchnią się wznosi, jak kiedy malutki płazik nalewkowy w śklance wody się rzuci.« — Wtem, na przestrzeni tak małéj, iż stopa jednego mieszkańca słonecznego, trzykrotnie ją pokryć zdoła, jakiś niezwykły ruch się wszczyna. Jestto bitwa okropna, bitwa ludów, jakiś nowy *Napoleon* walczy z dziesięcią królami i przegrywa bitwę. Cieniuchna mgła powleka tę drobną przestrzeń — to dym z prochu armatniego; widzowie słoneczni, nachyliwszy się lepiéj ku ziemi, słyszą nawet jakiś nito szmér głuchy, jak u nas szmér komarów wieczorem w lecie. — »Czy też ten nowoodkryty rodzaj infuzoryjów: ma rozum?« zapyta może jaki człowiek słoneczny w żarcie, lecz w téjże chwili sam się z tego dziwacznego pomysłu śmieje. A przecież te infuzoryje ziemskie obliczyły nietylko wielkość ziemi ale i wielkość słońca i wszystkich sąsiednich planet, przepisały bieg ziemi i kometom i odgadły zasady, podług których wielki zégar wszechświata idzie. — Gdyby jednak który z owych tytanów słonecznych spadł na ziemię — co za myśl straszliwa! Za każdym jego krokiem, trzęsienie ziemi, głód i — powietrze, byłyby gościńcem takich odwidzin. — Do jakich też dziwnych myśli zgrabnie upstrzona hypoteza doprowadzić nie może!

Osobliwszy wypadek stracenia mowy. W »Powszechnym archiwie dla psychologii«, wydawanym przez panów Mauchort i Tschirner czytamy o następném dziwném zjawisku: Pewien chory, rażony apopleksyją, stracił tak dalece wszelką władzę mówienia, iż nie umiejąc pisać, wszystko czego potrzebował, znakami wyrażać musiał. Z początku nie rozumiano dobrze tych migów, co go do gniewu pobudzało, i w gniewie silił się koniecznie coś wymówić, lecz zawsze tylko niezrozumiałe brzmienia wydawał.

Ztémwszystkiem zaczął znowuż niebawem co rano i wieczór głośno i wyraźnie modlitwy na książce do nabożeństwa czytać, jakby nigdy władzy mówienia był nie stracił. Postrzegłszy to, cieszyła się mocno jego rodzina, mniemając, że zupełnie mowę odzyskał i mówić do nich zacznie; atoli chory pozostał przy swoich migach, i mimo najsilniejszych natężeń, nie był w stanie jednego słowa z własnego popędu wymówić. I tak trwało aż do jego śmierci, przez którytо cały czas bardzo dobrze wprawdzie modlitwy z książki odmawiać umiał, lecz sam nigdy ani jednego wyrazu nie wygłosił.

Zasłużył sobie! Znany pisarz wodwilów, Dupin, otrzymał niedawno krzyż legii honorowéj. Napisał-bo on też, prócz dwóch dzieł dla *Théatre français,* z których każde przeszło 100 przedstawień miało, razem ze Scribe'm dziełek 60, sam jeden 25, a z innymi wodwilistami, około 100.

Zemsta literacka. Pan Dugué, młody, dowcipny pisarz paryzki, prosi u komitetu »Teatru francuzkiego« o wyznaczenie mu dnia, w którym mógłby odczytać nową, nieznaną jeszcze z nazwy komedyję. Wyznaczają mu jeden z ostatnich wtorków, a pan Dugué staje o wyznaczonym czasie z rękopismem w ręku przed areopagiem krytyki, składającym się tym razem z 6 jegomościów i 6 jéjmości, otwiera zeszyt i czyta: »*Le comité de lecture*« — komitet odczytów, komedyja w 3 aktach. Już sam tytuł zdziwił wszystkich. Następuje grobowa cisza, cały areopag spuszcza nosy, blednieje. Głównémi osobami sztuki są: pewien zarozumiały aktor Sansvoix, co znaczy tyle jak Sans son (bez głosu), a San-son, czy Samson, jestto imię jednego z najzarozumialszych artystów i sędziów owego areopagu; dalej niejaki pan Cretinbery, w którym każdy królewskiego komisarza Buloz mógł poznać. Zaledwie akt pierwszy odczytano — powstała okropna burza. Panowie Samson, Régnier, Prévost, nawet sam p. Buloz, powstali protestując uroczyście przeciw bezczelności autorów, którzy »Teatr francuzki« w jego własnym domu zamierzają znieważać. Pan Dugué wysłuchał wszystko cierpliwie, a potém rzekł: »Moi panowie i panie! Nie srożcie się tak bardzo. Nie chcecie przyjąć méj komedyi, ponieważ mniemacie widzieć w niéj siebie samych? Czyż to moja wina? Nic mi więc nie pozostaje, jak dać ją do druku i wam ją poświęcić.« — Poznano się oczywiście, iż to byłoby jeszcze gorzéj. Zaczém w układy z autorem! P. Buloz zaprosił poetę do swego gabinetu, i jął go tak gorąco prosić, iż pan Dugué wreszcie manuskrypt do biurka schować przyrzekł. Atoli od tego nieszczęsnego dnia nie mogą aktorowie »Teatru francuzkiego« ani jeść, ani pić, ani spać spokojnie, widząc wszędzie przed sobą straszydło jakiejś nowéj satyrycznej sztuki, a najmłodsi i najmniej zatwiardziali, nawet poprawić się przyrzekli.

Zégarek kieszonkowy składa się, podług obliczenia pewnego Anglika, z 992 pojedyńczych cząstek, których sporządzeniem zajmują się wyrobnicy z 45 różnych gałęzi przemysłowości.

Nowina dziennikarska. Do jakich śmiertelnych grzechów przeciw świętej prawdzie, żądza umieszczenia ciekawych wiadomostek, wiele dzienników skusza, możemy się z następnego doniesienia przekonać: W Ameryce, w tym kraju cudownych wynalazków, ma się obecnie budować miasto, które będzie opalane zpod ziemi, i gdzie więc w skutek tego, śród zimy będzie panowała najłagodniejsza temperatura, i będzie można chodzić po ulicach suchą i ciepłą nogą. W tym celu nie będzie tam kominów, lecz wszelki dym z pieców zostanie kanałami pod ziemię sprowadzonym. Dla koniecznego zaś wypuszczenia coraz obficiéj pod ziemią gromadzącéj się masy dymu, ma służyć olbrzymi, w kształcie piramidy zbudowany dymnik. Nowe to miasto będzie miało nazwę Hottown (gorące miasto), i liczą na to z pewnością, iż mając tak ciepły włoski klimat śród północnego zimnego kraju, wzrośnie wkrótce w jakie kilkadziesiąt tysięcy ludności, gdyż wszyscy cierpiący na piersi, zewsząd tam ściągać się i to miasto zamieszkiwać zechcą.

Cywilizacyja i źwierzęta. Postrzeżono w okolicach miasta Manchester w Anglii, iż wszystkie owe ptaki, które zazwyczaj z trawy i słomy gniazda sobie budują, tam bawełny tylko do tego używają. Jestto rzecz bardzo prosta, oile że w pobliżu tamtejszych fabryk olbrzymich żyto wcale nie rośnie, a nieustanny kamiennowęglowy dym z kominów trawę na polach niszczy, kosmyków zaś wełny wszędzie jest podostatkiem. Tak więc i ptaki biorą udział w zbawiennych skutkach cywilizacyi, a wreszcie może jeszcze dożyjem, iż te skrzydlate źwierzątka materace, poduszki i kołdry sporządzać sobie będą. Tycze się to arystokracyi źwiérząt. Wszakże jest między niemi także bardzo nieszczęśliwa klasa; gdyż, jak pisma donoszą, jest w Paryżu 20.000 psów bez panów, które budząc się zrana, nie wiedzą biedaki, o czém przez dzień żyć będą, ani też gdzie wieczorem głowę swą złożą. Kraść nieboraki nie umią, do cudzych spiżarni dobyć się im nie można — cóż więc tych 20.000 proletaryjuszów zwiérzęcego rodu począć mają?

Najkrótszy kalendarz mają zapewne Lapończykowie; stoi w nim bowiem: — 23go czerwca, śnieg zaczyna tajéć; 1go lipca, nie ma już nigdzie śniegu; 9go lipca, pola całkiem pozieleniały; 17go lipca, rośliny obficie podrastają; 27go lipca, rośliny kwitną; 2 sierpnia, owoce dojrzały; 13go sierpnia, rośliny się osypują; 18go sierpnia, śniég padać zaczyna.

Hydropatyja w Vedas indyjskich. Wiadomą jest rzeczą, iż święte księgi indyjskie wodzie wielki wpływ na duszę ludzką przyznają; nie tyle wiadomo jednakże, jak dalece te księgi skuteczność wody dla dla ciała ludzkiego wychwalają: »W wodach płynie napój nieśmiertelności, w wodach wyzdrowienie, w wodach, rzekł do mnie Romas, są wszelkie lekarstwa i ów wszystko uszczęśliwiający *agnis.* Rozlejcie prędko, o wody! wasz balsam na mnie, aby ochronił moje ciało.«

Jakiżto wstyd dla nas! Po ulicach miasta Kolonii przeciąga człowiek z klatką, w której są zamknięte: lis, gęś, kilka gołębi, jastrząb', kilka królików, mrówkojad, małpa, kruk, kotka i dwoje prosiąt — a żadne z tych źwierząt ani się nie kąsa, ani wadzi z drugiem. Co za wzór tolerancyi! Wsadźmyż natomiast do jednéj klatki zganionego aktora i jego recenzenta, jakiego literackiego wydrwigrosza a prawdziwie zasłużonego autora, aleopatę i homeopatę, dwóch profesorów i jeszcze kilku podobnych ludzi, a wcalebyśmy się innych rzeczy napatrzyli.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.